

DIABELSKI  
HRABIA



MELISA BEL

DIABELSKI  
HRABIA

LUBLIN 2020

Redakcja i korekta  
Marta Trywiańska

Projekt okładki  
Izabela Rybak

Zdjęcie na okładce  
© DarkBird, <https://pl.123rf.com/>, <https://www.shutterstock.com/>

Skład i łamanie  
PanDawer DPT Studio <http://www.pandawer.pl>

Druk i oprawa  
<https://www.printgroup.pl>

Copyright © by Melisa Bel

ISBN: 978-83-956624-0-9

### **Strona internetowa**

[www.melisa-bel.pl](http://www.melisa-bel.pl)

### **ZNAJDZIESZ MNIE TEŻ TUTAJ:**

Facebook: [@melisa.bel.autorka](https://www.facebook.com/melisa.bel.autorka)

Instagram: [melisa.bel.autorka](https://www.instagram.com/melisa.bel.autorka)

Twitter: [@melisabelautor](https://twitter.com/melisabelautor)

E-mail: [melisa.bel.autorka@gmail.com](mailto:melisa.bel.autorka@gmail.com)

Wydanie I, Lublin 2020

*Anglia, rok 1818, posiadłość Greenbill*

Charles Henry Winston, trzeci hrabia Harrington, siedział w gabinecie, w swoim ulubionym skórzanym fotelu, nie zdając sobie sprawy, że list, który właśnie otwiera, całkowicie odmieni jego życie. Gdy tylko skierował wzrok na pierwsze słowa, poczuł, że jego ułożony świat zatrzymał się. Ten charakter pisma rozpoznalby wszędzie.

Szybko przeczytał całą treść listu, by za chwilę wrócić do początku i zacząć od nowa. Niemal słyszał dźwięk słów, objający się w jego głowie, z której w jednej chwili uciekły wszystkie myśli. Choć targaly nim sprzeczne emocje, jedyną oznaką zdenerwowania wydawała się pulsująca żyłka na jego skroni i nieznacznie zaciśnięte szczęki. Czując, jak budzi się w nim niezrozumiały gniew, przeczesał dłonią przydługie czarne włosy, zmiażdżył papier i cisnął go w kąt pokoju.

— Peters! — ryknął hrabia, a w drzwiach natychmiast pojawił się lokaj.

— Tak, sir?

— Przynieś mi brandy.

— Oczywiście, sir. Czy mogę coś jeszcze...

— Całą butelkę!

— Naturalnie, sir — odparł sługa, ledwo skrywając grymas dezaprobaty. Szybko umknął za drzwiami, notując sobie w myślach, by nie narażać się dzisiaj niepotrzebnie swojemu panu. Najwidoczniej znów był w podłym nastroju.

Lord Winston gwałtownie wstał z fotela i lekko utykając, podszedł do okna. Jego potężna sylwetka prawie całkowicie

zasłoniła wpadające z zewnątrz światło. Utkwił wzrok w oddali i pogrążył się w rozważaniach na temat młodej kobiety, autorki listu, która była obecna w jego życiu dawno temu.

Przypomnił sobie czasy, kiedy jeszcze jako młody chłopak z oddali obserwował tę energiczną, drobną istotkę. Odkąd pamiętał, pragnął przebywać blisko niej. Przyciągała go do siebie tak, jak płomień wabi ćmę. Nie potrafił kontrolować swych pragnień i nieco go to przerażało.

Jocelyn Robertson jako mała dziewczynka mieszkała niedaleko posiadłości hrabiostwa Winstonów i czasem bawiła się z siostrami i kuzynostwem Charlesa. Matka dziewczyny pracowała kiedyś w Hallburry jako guwernantka. Któregoś dnia minęła się w drzwiach z nowym, przystojnym rządcą, który dbał o jeden z licznych majątków ziemskich jego ojca. Rok później młodzi byli już po ślubie, a kolejnego lata na świat przyszła Jocelyn. Pomimo znacznie niższego statusu społecznego, dzieci traktowały córkę Robertsonów jak równą sobie.

Omal się nie uśmiechnął na wspomnienie jej przygód, gdy z zapalem opiekowała się dziesiątkami wyliniałych kotów, psów i ptaków, które z pewnością darły się wniebogłosy, chcąc znaleźć się jak najbliżej tego chodzącego ideału.

Niestety, jak to w jego życiu bywało, to, co dobre, nigdy nie było przeznaczone dla niego. Ostatni raz widział Jocelyn siedem lat temu, kiedy wychodziła za mąż za jego kuzyna, Edwarda Ashtona. Promieniowała wtedy naturalnym szczęściem młodej mężatki. Miała niecałe dwadzieścia lat i była śliczna jak wiosenny kwiatek.

Na myśl o swoim kuzynie, Charles zmełł w ustach przekleństwo. Nigdy za sobą nie przepadali. Różnili się od siebie jak dzień i noc. Wcale go jednak nie dziwiło, że dziewczyna uwielbiała tego wiecznie szczerzącego się, złotowłosego adonisa, który podążał za nią wszędzie jak wierny piesek. Był pupilkiem kobiet. Miał w sobie nieskończone pokłady słodkiej i banalnej

romantyczności, która w połączeniu z łagodną naturą i ujmującym spojrzeniem błękitnych oczu poruszała serca wielu dam.

Gdy poprosił Jocelyn o rękę, wybuchł skandal. Można było się spodziewać, że skromna wybranka nie przypadnie do gustu jego arystokratycznym rodzicom. Była przecież tylko córką ciągle zajętego pracą rządcy, który nie rozstawał się z zegarkiem, podczas gdy Edward był jedynym synem wicehrabiego.

Mimo zakazów ze strony rodziców, kuzyn Charlesa poślubił Jocelyn. W odpowiedzi na to Ashtonowie wyrzekli się swego pierworodnego. Panicznie bali się, że świat dowie się o jego ubogiej oblubienicy, która, jak uważali, na zawsze splami ich nieskazitelny rodowód.

Od tamtej pory Charles nie wiedział, co się z nimi działo. Podejrzał, że dostali od rodziców Edwarda „stosowną zachętę”, aby po cichu zaszyć się gdzieś na prowincji. Domyślał się, że od chwili ślubu jego kuzyn nie mógł już nigdy wspominać o swoim pochodzeniu.

Do pokoju wszedł sługa, niosąc na tacy brandy i szklaneczkę. Postawił butelkę na niewielkim mahoniowym stoliku i ostrożnie spojrzał na swego pana. Charles, słysząc odgłos stawianego na blacie szkła, wyrwał się na chwilę z zamyślenia. Szybko odprawił lokaja i nalał sobie sporą porcję złocistego trunku. Upił łyk i poczuł w gardle tak dobrze znaną sobie fałę gorąca. Tego potrzebował.

Przez chwilę niewyraźny obraz Jocelyn majaczył w umyśle hrabiego. Długo nie mógł o niej zapomnieć, a teraz, po latach, jak gdyby nigdy nic, dostaje od niej list zawiadamiający o śmierci kuzyna i jej rychłym przyjeździe. Ponoć ostatnią wolą Edwarda było, aby on, Charles, zapewnił młodej wdowie pomoc i schronienie. Nachmurzył się jeszcze bardziej.

— Do diabła! — warknął. Co też jego zuchwały kuzyn sobie myślał?! Z listu wywnioskował, że dziewczyna jest bez grosza

przy duszy i nie ma się gdzie podziąć, dlatego szuka pomocy u krewnych. Jej rodzice nie żyli, więc nie mogła na nich liczyć. Z oczywistych powodów nie była też mile widziana w domu swoich teściów, ale żeby zaraz szukała schronienia u niego?

Przez chwilę zastanawiał się, czy nadal jest taka śliczna jak przed laty. Gdy zdał sobie sprawę ze swoich rozterek, potrząsnął z niesmakiem głową. Przypomniało mu się, że przecież niedawno straciła męża. Poza tym lata temu wyrzucił ją ze swoich myśli.

Sapnął gniewnie, gdy dotarło do niego, że Jocelyn z pewnością będzie domagać się finansowej rekompensaty jako wdowa po mężu. To on był teraz głową rodu i Edward postanowił przypomnieć mu o jego powinnościach.

Zauważył też, że nie pisała o żadnych dzieciach...

— Na miłość boską! — Aż się wzdrygnął. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego i co ważniejsze, nie zamierzał nikogo niańczyć. Dobrze mu było samemu w jego ogromnej i mrocznej posiadłości, w której zaszył się jako weteran wojen napoleońskich. Bezwiednie pomasaował zabliznioną ranę na udzie — zawsze dawała o sobie znać w deszczowe dni. Myślami jednak był przy dziewczynie, która niegdyś tyle dla niego znaczyła.

Zdawał sobie sprawę, że niewiele zrobił, aby Jocelyn domyśliła się jego ciepłych uczuć. Bardziej odrzucał ją swym szorstkim zachowaniem, niż przyciągał. Mimo to nie mógł pogodzić się z jej utratą, gdy zdecydowała się wyjść za mąż. Kiedy ślub Edwarda i Jocelyn stał się faktem, rozgoryczony Charles miotał się jak wściekły byk, aż w końcu postanowił zaciągnąć się do wojska.

Jako dowódca kawalerii pod komendą Williama Beresforda uczestniczył w wielu bitwach na Półwyspie Iberyjskim. Swoją karierę wojskowego zakończył w bitwie pod Waterloo, gdzie Napoleon został ostatecznie pokonany.

Hrabia Winston wrócił jako bohater wojenny, ale tylko on wiedział, jaką cenę przyszło mu za to zapłacić. Na froncie



przeżył koszmar, który nadal tlił się w zakamarkach jego umysłu, nie dając o sobie zapomnieć. Zmienił się, spoważniał i jeszcze bardziej zamknął w sobie.

Teraz znów myślał o Jocelyn. Dotąd nie wiedział, że jej obraz może być aż tak żywy w jego pamięci. Wbiła się w niego jak cieni, którego nie był w stanie się pozbyć.

Pomyślał, że z pewnością obrosłaby w piórka, gdyby przychylił się do woli kuzyna i wyposażył ją w majątek godny szacownej wdowy. Parsknął cicho, wyobrażając ją sobie spacerującą w strojnych sukniach, z wysoko zadartym noskiem.

Gdy hrabia otrzymał jej list, wspomnienia zwały się na niego jak lawina. Sprawilo mu to niemal fizyczny ból. Nie chciał jej widzieć. Wszystkie uczucia, jakie kiedykolwiek do niej żywił, od lat dusił w zarodku i wołał, żeby tak zostało. Poczul nagłe dojmującą złość, że ktoś ma czelność naruszać jego latami wypracowywany spokój. Nie obchodziło go, z jakiego powodu. Nie dbał o jej los, nie chciał jej tu i nie czuł się za nią odpowiedzialny. Wyprostował dumnie muskularne barki, gotów stoczyć nadchodzącą walkę z kobietą, która była dla niego utraconym marzeniem.

Niech tylko postawi tu nogę, a dowie się, co znaczy drażnić Diabelskiego Hrabiego, jak często go nazywano, i pożałuje, że w ogóle się tutaj pojawiła.



A więc stało się. Jej starannie pielęgnowane życie znów wywróciło się do góry nogami. Jocelyn miała wrażenie, że jakieś niefortunne fatum podąża jej śladem od wielu lat. Z ciężkim sercem wyjrzała przez okno dylizansu na przemykający przed jej oczami monotony krajobraz. Deszcz mocno zacinał i wszystko wydawało się bure i ponure. Pogoda świetnie wpasowała się w jej nastrój.

Rok temu straciła swojego ukochanego męża, u boku którego miała nadzieję spędzić szczęśliwie całe życie.

— Edwardzie... Tak bardzo za tobą tęsknię — szepnęła, a jej oczy zaszkliły się. Z konsternacją zauważyła, że rysy twarzy męża powoli bledną w jej umyśle. Westchnęła i znów zatopila się w przygnębiających wspomnieniach.

Kiedy Edward zaczął chorować i cierpieć na ataki kaszlu, lekarze zbywali to machnięciem ręki. Twierdzili, że to nic poważnego. Wkrótce jednak pojawiły się problemy z oddychaniem i bezlitosna gorączka. Zaledwie po kilku dniach walki z chorobą, Edward odszedł. Jego ostatnimi słowami były wyznanie miłości do żony i prośba, by przeczytała jego list, który znajdował się w szufladzie sekretarzyka w ich małżeńskiej sypialni. Musiał go napisać, gdy zaczął przeczuwać, że odchodzi. Pewnie uznał, że lepiej przekazać jej ostatnią wolę w ten sposób niż poprzez rozmowę, która mogłaby odebrać Jocelyn resztki nadziei, że odzyska zdrowie.

Wśród ostemplowanych upomnień i nakazów splaty weksli, dziewczyna znalazła szarą kopertę ze swoim imieniem.

Z pierwszej części listu dowiedziała się, jak bardzo zadłużony był ich niewielki dom i że sytuacja finansowa, w jakiej oboje się znaleźli jest znacznie gorsza, niż sądziła. W drugiej części pojawiła się nagła prośba, by Jocelyn zwróciła się o pomoc finansową do jednego z wpływowych kuzynów Edwarda, lorda Winstona, któremu bezgranicznie ufał.

Zaskoczył ją ten pomysł. Z dzieciństwa pamiętała hrabiego jako wiecznie naburmuszonego chłopaka o złych manierach, który nieustannie rzucał jej spojrzenia pełne odrazy.

Był od niej sześć lat starszy i gardził zabawą z innymi dziećmi, przez co zawsze wydawał jej się niedostępny. Zazwyczaj trzymał się na uboczu, a ten, kto ośmielił się zamienić z nim choć jedno uprzejme słowo, gorzko tego żałował. Wszelkie zaczepki ze strony dzieci sprawiały, że hrabia

prężył ciało niczym dzikie zwierzę, a jego oczy zwężyły się niebezpiecznie.

Prawdę mówiąc, ten chłód i dystans młodego chłopaka przerażał Jocelyn nie na żarty.

Po latach, gdy była już trochę starsza, słyszała co nieco o ekscesach miłosnych Charlesa i jego reputacji kobieciarza. Nie raz widywała go z młodymi, chichoczącymi damami, które niemal zabijały się, by tylko zwrócił na nie uwagę. Zawsze ją dziwiło, że zachowuje się przy nich zupełnie inaczej niż przy niej. Oczywiście nadal otaczała go ta sama aura tajemniczości, ale wyraz jego twarzy stawał się wtedy bardziej drapieżny, zmysłowy.

Kolejne przyjaciółki otaczające lorda zmieniały się jak w kalejdoskopie, więc w końcu Jocelyn doszła do wniosku, że dziedzie Winstonów po prostu się nimi bawił.

Była bardzo młoda, ale wiedziała, że takie zachowanie nie było źle widziane w oczach socjety. Hrabiego okrzyknięto nawet jednym z najbardziej pożądanych kawalerów! No tak, mężczyznom pozwala się na pełną swobodę, podczas gdy rolę kobiety jest tylko bezmyślnie przytakiwać w rytm męskich wywodów... Pomyślała dumnie, że szczęśliwie ona nie musi zachowywać się jak nakręcana zabawka. Edward cenił jej rozum i osobowość.

Wsparła się na podłokietniku i utkwiała wzrok w szarym niebie za oknem dylżansu.

Jaki będzie wielki hrabia Winston?



Bała się tego spotkania. Minęło tyle czasu! Właściwie to miała nadzieję, że uda jej się odnaleźć w sobie choć cień serdeczności wobec tego tajemniczego, mrocznego mężczyzny, bo wyglądało na to, że jest on jej ostatnią deską ratunku.

Nie widziała go od dnia swojego ślubu, na którym był jedynym członkiem rodziny Edwarda. Stał w bocznej nawie kościoła i patrzył na nią z marsową, zaciętą miną.

Na samo wspomnienie przeszedł ją dreszcz. Nigdy nie zapomniała wrogiego spojrzenia jego zimnych, niemal czarnych oczu. Sapnęła bezradnie. Jak widać i on nie pochwałał jej związku z Edwardem. Nie zapowiadało to może obiecującej znajomości, ale miała nadzieję, że może liczyć na jego pomoc w tak rozpaczliwej dla siebie sytuacji. W końcu jest dżentelmenem i człowiekiem honoru — pomyślała z nadzieją, choć sama nie wierzyła w te żalosne próby dodania sobie otuchy.

Przeszedł ją dreszcz trwogi, gdy wyobraziła sobie, że może on nie zechce jej nawet widzieć. W końcu wychodząc za Edwarda, stała się czarną owcą w rodzinie. Była tylko biedną dziewczyną, która wkradła się w szacowne towarzystwo.

Po śmierci męża z trudem dawała sobie radę z wierzycielami, którzy dniem i nocą dobijali się do jej drzwi. Dowiedziała się, że Edward ukrywał przed nią niewielkie długi karciane, które niesplacane, rozrosły się do sporych sum.

Mimo że Jocelyn żyła bardzo oszczędnie, pieniądze znikwały w zastraszającym tempie. Miała tego pełną świadomość, ale nie chciała zwrócić się o pomoc do lorda Winstona, do końca mając nadzieję, że uda jej się jakoś powiązać koniec z końcem. Niestety jedynym wyjściem, by spłacić długi, okazała się sprzedaż domu, co oznaczało pozbawienie się dachu nad głową.

Nie miała już wyboru. Musiała udać się do kuzyna Edwarda, który prawdopodobnie ledwie ją pamiętał i miał ją za nic więcej jak natrętą muchę.

Uśmiechnęła się smutno i popatrzyła na swój znoszony płaszcz i przemoczone brzydkie buty. Nie wyglądała jak dama. W najlepszym wypadku przypominała skromną służącą. Jej jedynym dobytkiem była niewielka torba podróżna, kilka drobiazgów, ostatni list Edwarda i czarny kocur, Roger, śpiący teraz

beztrosko na jej podolku. Poglaskała go czule. Kot wywinął się, mrużąc z zadowoleniem. Gdy po chwili zaburczało jej głośno w brzuchu, skrzywiła się lekko.

— No cóż, chociaż jedno z nas nie martwi się, kiedy będzie spożywać najbliższy ciepły posiłek.

Kilka godzin później na zewnątrz zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Silny wiatr niezmordowanie szarpał rozklekotanym powozem, który chyba cudem nie wpadł jeszcze w poślizg i nie stoczył się z drogi. Słyszała rżenie przestraszonych koni i głośne przekleństwa woźnicy, który wiele ryzykował, wioząc ją w taką pogodę.

Niewątpliwie chce się mnie pozbyć jak najszybciej i skryć w jakiejś milej i cieplej tawernie — pomyślała kwaśno.

— Dojeżdżamy! — Usłyszała niewyraźny, belkotliwy głos. Na myśl o rychłym spotkaniu z hrabią, zakręciło jej się w głowie, a żołądek wykonał salto. Nie jadła porządnego posiłku od trzech dni, a fiszbiny gorsetu wbijające się w ciało, bynajmniej nie ułatwiały oddychania. Starając się przywrócić sobie spokój, poglaskała miękkie futerko Rogera, który za nic miał szalejącą burzę i rozchwiane nerwy swojej pani. Popatrzył na nią leniwie i miauknął cicho. Wkrótce powóz wyhamował.

— Wysiadka, paniusiuuu! — Drzwi otworzyły się z hukiem i zobaczyła woźnicę, który spojrzał na nią mętnym wzrokiem. Jego głowa unosiła się raz po raz, gdy czkał. Obruszona jego grubiańskim zachowaniem, wzięła kota pod pachę, chwyciła torbę i niezdarnie zeszła po schodkach dyliżansu. Gdy tylko stanęła na ziemi, mężczyzna skłonił się komicznie, a potem wturlał na kozła i odjechał, zostawiając ją samą w strugach deszczu.

— Jak on mógł mnie tak po prostu zostawić? — fuknęła urażona. Mniejsza o to, teraz musi tylko znaleźć... Obróciła się na pięcie i jej oczom ukazała się ogromna, upiorna rezydencja,

do złudzenia przypominająca wrota Hadesu, które widziała na starych rycinach w książkach ojca. Ściany domostwa obrośnięte były skreconymi pnączami suchych winorośli, które pięły się po zimnym kamieniu, jakby chciały wyssać z niego całe życie.

Charles Winston odziedziczył posiadłość Greenhill razem z rozległymi ziemiemi i tytułem hrabiowskim po śmierci jego ojca — lorda Olivera Winstona. Spośród wielu innych zamków należących do rodziny Winstonów, ten był wyjątkowy.

Jak głosiła rodzinna historia, dziadek Charlesa, pasjonat koni i jeździectwa, wygrał go w wyścigach konnych, pokonując swego przeciwnika, księcia Beaufort, zaledwie o ułamek sekundy. Plotka głosiła, że gdy babka Charlesa, dla której wyścigi konne były wyszukaną formą hazardu, dowiedziała się o tym wydarzeniu, tak zmyła głowę swemu mężowi, że ten już nigdy nie dosiadł konia jako dżokej.

Greenhill było piękną posiadłością, ale w związku z okolicznościami, w jakich znalazło się rękach rodu, nigdy nie zostało zamieszkane przez rodzinę Winstonów. Przez wiele lat domostwo niszczało, dopóki hrabia nie postanowił w nim osiaść. Mieszkańcy pobliskiej wioski liczyli na to, że nowy zarządca przywróci zamkowi świetność, ale tak się nie stało.

Udział Charlesa w wojnie zebrał swoje żniwo. Nadwyręzione nerwy i słaby stan psychiczny nie pozwoliły mu tchnąć życia w tę rezydencję, która na pierwszy rzut oka nadal wyglądała jak niezamieszкана.

— To chyba najbardziej ponure miejsce na ziemi — mruknęła do siebie Jocelyn. W oknach nie tliło się nawet nikielne światło. Gdy dziewczyna spojrzała w górę, zauważyła wbite w siebie spojrzenia omszałych rzeźb gryfów, które wieńczyły szczyt budynku.

Z otwartymi ustami patrzyła na to niewątpliwie diabelskie miejsce. Nawet kot z wrażenia przestał się wiercić. Przyszła jej do głowy nedorzeczna myśl, że może po prostu śni.

Ale nie, tak beznadziejna sytuacja zdarza się rzadko nawet w snach.

Suknia Jocelyn w kilka chwil całkowicie przemokła, a ona zaczęła drżeć z zimna. Zebrała w sobie resztki sił i ruszyła przez pusty dziedziniec w stronę wejścia. Ledwo poruszała zdrętwiałymi po długiej podróży nogami, a w jej głowie kłębiły się same apokaliptyczne wizje.

Przed drzwiami domu pociągnęła nosem i zastukała kołatką w kształcie głowy lwa. Potem jeszcze raz i kolejny. Czarne niebo przeszła błyskawica. Kot miauknął żałośnie, a Jocelyn ciałniej otuliła go peleryną. Z przerażeniem pomyślała, że hrabia nawet nie otrzymał jej listu i wyjechał do którejś ze swoich licznych posesji. No cóż, miała za swoje. Trzeba było napisać wcześniej, kiedy jeszcze mogła poczekać na odpowiedź.

W głowie już widziała zdziwioną minę lorda Winstona, gdy po kilku miesiącach wróci z podróży, a w progu domu zastanie nędzne, zasuszone zwłoki jej i kota. Cmoknęła zniecierpliwiona i z bezsilną złością kopnęła w nieszczęsne drzwi.

Zdawało jej się, że minęła wieczność, zanim okrążyła dom, próbując dobić się do środka każdym bocznym wejściem. Krzyczała i wołała, ale burza zagłuszała jej głos. Wtem, gdy już zupełnie straciła wiarę, że ktokolwiek jej otworzy, usłyszała niewyraźny stukot. Rozejrzała się, próbując zlokalizować dźwięk. Było prawie zupełnie ciemno i ledwie dostrzegła odchyloną okiennicę, która raz po raz niespokojnie obijała o ramę.

Natychmiast zakielkowała w niej zdradliwa nadzieja.

— Jak nie drzwiami, to kominem — bąknęła pod nosem. Podeszła i pociągnęła uchylone skrzydło, aż okiennica rozchyliła się z cichym jękiem, ukazując otwarte okno. Dziewczyna uśmiechnęła się z satysfakcją, ale mina zaraz jej zrzędła, gdy wyobraziła sobie siebie i Rogera zakutyh w kajdany więzienne i oskarżonych o włamanie do tego mrocznego zamczyska. Wzruszyła ramionami, usuwając z myśli niepokojące wizje.

— Nie martw się — mruknęła do kota. — Wezmę to na siebie.

Roger, jakby zachęcony głosem swojej pani, wydobył się z jej uścisku. Dał susa na parapet, po czym wskoczył ochoczo do wnętrza domu.

Jocelyn zziębniętymi dłońmi przerzuciła torbę przez okno i na drżących ramionach podciągnęła się na ramę. Oddech uwiązał jej w piersi, ale w końcu udało jej się usiąść na parapecie. Przerzuciła niezdarnie nogi do pokoju i zeskoczyła na podłogę.

Serce biło jej jak oszalałe. Jeszcze nigdy nie zrobiła czegoś tak skandalicznego. Mimo wycieńczenia i nadszarpniętych nerwów, poczuła dreszczyk emocji.

Wygląda na to, że jestem całkiem zdolnym włamywaczem — pomyślała prawie wesoło.

Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie i coś wielkiego przyszpiliło ją do ściany. Z ciemności wyłoniło się demoniczne oblicze o czarnych zimnych oczach, które zatrzymało się tuż przed jej twarzą. Zamarła z przerażenia.

Boże drogi! Może nie była święta, ale nie sądziła, że po jej duszę przyślą samego syna ciemności! — pomyślała, poruszając bezwiednie ustami i osunęła się wprost na napastnika.

Charles patrzył osłupiały na bezkształtną postać, leżącą nieprzytomnie w jego ramionach.

— Co u licha?! — jęknął, a jego głos wyrażał najwyższe zdumienie. Przez dłuższą chwilę umysł mężczyzny gorączkowo szukał wyjaśnienia sytuacji.

W ciemnościach biblioteki nie widział wyraźnie twarzy intruza. Czyżby złodziej? Chyba nie... W życiu nie spotkał tak hałaśliwego i nieudolnego włamywacza. Wciągnął powietrze w nozdrza, szukając woni alkoholu, ale zamiast tego... Zaraz, jakby delikatny zapach cytryn? Zdezorientowany potrząsnął



głową. Gnany niejasnym przeczuciem odgarnął szybko włosy z twarzy nieoczekiwanego gościa.

— To kobieta... — szepnął zdziwiony.

Śmiertelnie błada kobieta.

Gdy światło księżycy na chwilę padło na mizerną twarz dziewczyny, zastygł w bezruchu.

— Jocelyn?! — krzyknął głośno, a krew odpłynęła mu z twarzy. W jednej chwili przypomniał sobie jej list. Przez jego myśli przetoczyło się tysiąc pytań. Dlaczego włamała się przez okno? Może jest niepoczytalna?

Zdecydował, że wyjaśnienia mogą poczekać. Podniósł przemokniętą dziewczynę i wyszedł z pokoju.

— Peteers, do mnie!!! — huknął. Po czym, niewiele myśląc, pognał na piętro w stronę gościnnej sypialni, przeskakując po dwa stopnie. Otworzył drzwi kopniakiem i zajął się zdejmowaniem z Jocelyn mokrej burej sukni. Odrzucił wierzchnią warstwę i połuźnił gorset. Dziewczyna była lodowata.

W drzwiach stanął rozespany kamerdyner, gosposia i kilku ciekawskich służących. Widząc osobliwą scenę, stary sługa nawet nie mrugnął, przyzwyczajony do dziwacznych zachowań pana.

Charles rzucił mu szybkie spojrzenie.

— Poślij po doktora, natychmiast! — Sługa skinął głową i już go nie było.

— Rose, rozpal w kominku. Potrzebna też będzie gorąca herbata i kilka ręczników, już!

Pulchna gospodyni kiwnęła głową i odwróciła się, po czym wydała cicho kilka szybkich poleceń. Służba rozpierzchła się. Ona sama zaś podeszła do wielkiego łoża i przyłożyła rękę do czoła nieprzytomnej kobiety. Spojrzała na hrabiego, który nerwowo zaciskał dłonie i chyba nie bardzo wiedział, co teraz zrobić.

— Lordzie Winston, jeśli pan łaskawie wyjdzie, ja się zajmę pańską... ekhm... przyjaciółką — zaczęła taktownie.

— Tak... Chyba tak... — zgodził się, ale nie wykonał żadnego ruchu, wciąż wpatrując się w dziewczynę. Starsza kobieta wzniosła oczy ku niebu i bezceremonialnie wypchnęła go z pokoju.

Charles chodził przez chwilę po korytarzu, po czym nie wiedząc, co ze sobą zrobić, wrócił do biblioteki. Z głośnym westchnieniem opadł na rozłożysty fotel. Zaczął odtwarzać w głowie ostatnie wydarzenia.

Niecałą godzinę temu siedział spokojnie w ciemnościach i wsłuchiwał się w miarowe dudnienie deszczu. Niespodziewanie okiennica znajdująca się najbliżej fotela, który zajmował, otworzyła się na oścież, a jego głowę zaatakowała czarna, kuddłata kula nadlatująca od strony okna. Cokolwiek to było, szybko odskoczyło i zaszyło się gdzieś w zasłonach. Ledwie poderwał się z miejsca, a w jego stronę poszybował duży przedmiot. Złapał go w locie zdumiony, ale zanim w ogóle zastanowił się, co trzyma w rękach, jego uwagę przykuły odgłosy cichego posapywania i stękania. W końcu w oknie pojawiło się dziwaczne stworzenie, które najwidoczniej zamierzało wpełznąć do jego domostwa.

Dopadł szybko intruza, zdumiony jego wątłą posturą, po czym usłyszał jakieś mamrotanie o synu ciemności. Chwilę potem trzymał w ramionach wiotkie ciało, którego tożsamość wkrótce odkrył. Sapał ciężko i zatopił się w myślach.

Godzinę później w pokoju rozległo się ciche pukanie i w drzwiach ukazała się rumiana twarz wiejskiego doktora. Charles nie widział go nigdy przedtem. Jednym spojrzeniem objął jego beczkowatą sylwetkę.

— Co z nią? — zapytał bez ogródek.

— Wygląda na to, że to nic poważnego, jaśnie panie. Mnie się widzi, że należy tylko panienkę dobrze wygrzać, nakarmić i dać się wyspać. Za kilka dni będzie zdrowa jak ryba.

— Charles odchrząknął dyskretnie, zastanawiając się, skąd Peters wytrzasnął tego szacownego jegomościa. „Doktor” był

przysadzistym, starszym panem, ubranym niewiele lepiej niż służba. Jego język nieodparcie świadczył o niskim pochodzeniu. Jeśli ten człowiek miał leczyć Jocelyn, Charles musiał dowiedzieć się o nim kilku rzeczy.

— Dziękuję. Czy mogę zadać panu pytanie w sprawie... pana specjalizacji? — zaczął ostrożnie. Mężczyzna spojrzal na niego podejrzliwie i zamrugał szybko.

— A co jaśnie pan chce spytać? Czy żem uczony? — Charles wlepił w niego wzrok.

— Chciałem tylko zapytać, co się stało z naszym dotychczasowym medykiem, doktorem Ralfem Johnsonem...

— A no wykurzyłem fircyka — odparł pysznie. Jego brzuch wyprężył się do przodu. — Może i był uczony, ale we wiosce nie było z niego pożytku. Jak go wzywano do jakiej pocziwiny, tylko patrzył ze wstrętem i zakrywał nos chusteczką. Widać było, że mu nie w smak. Takie z niego panisko! Wtedy ludzie zaczęli przychodzić do mnie. Mieszkam niedaleko, w głębi lasu. Wszystkiego nauczyła mnie matka, która parala się w ziołowych specyfikach. Zanim zmarła, świeć Panie nad jej duszą, była najbardziej szanowaną znachorką w okolicy! A teraz i ja zdobyłem poważanie mieszkańców — zakończył dumny jak paw.

Charles, słysząc tę żarliwą opowieść, omal nie jęknął. Doktor Johnson może i nie był idealnym przykładem szlachetnego człowieka, ale przynajmniej miał wykształcenie medyczne! Z drugiej strony to, jak traktował pacjentów było niedopuszczalne, więc może miał szczęście, że sprawa wyszła na jaw teraz, kiedy nie dosięgnie go już gniew zarządcy Greenhill.

Charles zerknął na rubasznego znachora. Nie miał teraz żadnego wyboru, jak tylko zaufać temu prostemu lekarzowi. Przynajmniej nie zalecał upuszczania krwi i pijawek — pomyślał ze zgrozą. Spojrzal mu prosto w twarz.

— Rozumiem, panie...?

— Rowley. Giles Rowley, jaśnie panie.

— A więc, panie Rowley, cieszę się, że zajął się pan okolicznymi chorymi lepiej niż doktor Johnson. Moi dzierżawcy muszą być silni i zdrowi, by zajmować się ziemią, które im powierzyłem.

Meżczyzna skinął głową z zadowoleniem.

— Czy ma pan jeszcze jakieś zalecenia w sprawie rekonwalescencji lady Ashton?

Znachor zmarszczył brwi.

— Rekon... Czego?

— Leczenia — podsunął Charles.

— Aha! No to przyda jej się odrobina spokoju... Jeśli jaśnie pan wie, co mam na myśli — zarechotał poufale. Twarz hrabiego stężała na chwilę, po czym rozciągnęła się w nieprzyjemnym uśmiechu.

— Jak pan uważa, doktorze — wycedził spokojnie, choć miał ochotę strzelić w zęby temu bezczelnemu typowi. — A teraz dobranoc.

Lekarz zaskoczony szorstką odpowiedzią, lypnął na niego, po czym wzruszył ramionami i posłusznie się oddalił.

Charles zapalił cygaro i wbił wzrok w ciemną noc. Z całą mocą dotarło do niego, że kobieta, która kiedyś była dla niego tak ważna, leży teraz w jednej z jego sypialni. Przeczesał włosy ręką.

— I co ja mam z nią teraz zrobić? — Nachmurzył się i zgasił cygaro. Miał nadzieję, że chociaż reszta nocy minie spokojnie. Przetarł zmęczoną twarz i skierował się do swojej sypialni.



Poranek nie okazał się dla Charlesa przyjemny. Gdy obudził go rwący ból w nodze, skrzywił się paskudnie.

— Może to odoczy mnie cholernego bohaterstwa — burknął, przypominając sobie, jak wnosił Jocelyn po schodach. Rozmasował bolące miejsce, nie podnosząc się z łóżka.

Nagle poczuł, że jego nogi są zdrętwiałe i ciężkie, jakby czymś przygnięcione. Powoli uniósł głowę z poduszki i zobaczył wpatrzone w siebie zielone ślepie, należące do paskudnego, wielkiego kota. Zwierzę z upodobaniem leżało na jego nogach, ewidentnie hamując dopływ krwi do stóp.

Nie musiał się domyślać, do kogo należy. Zaraz przypomniał sobie latającą futrzaną kulę, która trafiła go wczoraj w głowę.

— Nie mogę w to uwierzyć — jęknął. — Zabrała ze sobą parszywego kota!

Parszywiec przez chwilę mierzył go wzrokiem, jakby próbując odgadnąć jego zamiary, po czym najeżył się i prychnął.

Po chwili w pokoju rozległo się ciche pukanie i w drzwiach stanęła Rose z tacą śniadaniową.

— Dzień dobry, sir! Czy życzyłby Pan sobie zjeść śniadanie w łóżku? Pomyślałam, że z powodu wczorajszego... zajścia...

— Tak, Rose, dziękuję — uciał hrabia. Domyślał się, że gospodyni nie bez powodu pokwapiała się, by samodzielnie przynieść mu posiłek. W plotkowaniu była niezrównana i zapewne chciała dowiedzieć się czegoś o wczorajszych wydarzeniach.

Kobieta zmierzyła go przenikliwym wzrokiem i podała mu tacę.

— Och! Jaki śliczny kocurek! — zaczęła nagle słodkim głosem i pochyliła się nad futrzanym stworzeniem. — Skąd ty się tu wziąłeś? Na pewno jesteś głodny, mały dżentelmenie. Zaraz znajdziemy dla ciebie coś w kuchni.

Kot jakby wyczuł, że to o nim mowa, bo miauknął w odpowiedzi. Zeskoczył bezgłośnie z łoża i otarł się o rąbek spódnicy Rose. Charles zmierzył go spojrzeniem pełnym powątpiewania. Ostatnią rzeczą, jaką można było o nim powiedzieć, to „śliczny”. Gospodyni jednak patrzyła na parszywca jak na cud świata i wyglądało na to, że tych dwoje wyraźnie przypadło sobie do gustu.

— Co z dziewczyną? — spytał jakby od niechcienia i sięgnął po kawę.

Kobieta spojrzała na niego czujnie i jakby się ożywiła.

— Śpi jak zabita, sir. Musiała wiele przejść, biedaczka — dodała ze współczuciem, a jej wzrok śledził każdy grymas na twarzy mężczyzny. — Jak ona właściwie znalazła się w domu? — zastanawiała się na głos. — Nie przypominam sobie...

— To wszystko, Rose — przerwał jej hrabia. Nie chciał wtajemniczać gosposi w wydarzenia wczorajszej nocy. Sam ich nie rozumiał.

— Oczywiście, sir — odpowiedziała niezadowolona i wyszła razem z laszającym się do jej stóp kotem.

Tak, to była zagadka, którą zamierzał szybko rozwiązać. Dlaczego dziewczyna wkradła się do jego domu oknem? Może jest chora psychicznie? Pamiętał, że niedługo przed jej ślubem, rodzice Jocelyn zginęli w pożarze, w swoim własnym domu... To na pewno był dla niej ogromny cios, ale czy sprawił, że zaczęła tracić zmysły?

Charles dobrze pamiętał te dni. Po raz pierwszy w życiu poczuł wtedy silną potrzebę troski o drugą osobę. Chciał chronić Jocelyn przed złem tego świata, ale ona miała już przy sobie innego opiekuna, Edwarda. Z pewnością kuzyn uśmierzył jej ból.

Hrabia nachmurzył się. Gdyby rodzice Jocelyn żyli, prawdopodobnie nie musiałby się teraz zajmować nieoczekiwanym gościem. A może ubzduriała sobie jakiś plan, dzięki któremu przywłaszczy sobie jego dobytek? Czy nie dość jej było, że zagabiła szlachecki tytuł i majątek Ashtonów?

Teraz, gdy po śmierci męża została z niczym, będzie pewnie udawać biedną wdowę, żeby uzyskać od niego jakąś pieniężną rekompensatę.

Obiecał sobie, że nie da się wykorzystać. Bez względu na to, co kiedyś do niej czuł, nie będzie jej utrzymywał!

— Czas na szkołę życia, moja pani. Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo — postanowił twardo.

Zjadł pośpiesznie śniadanie i ubrał się. Jak najszybciej chciał uzyskać odpowiedzi na naglące pytania.

— To mój obowiązek — przekonywał sam siebie, gdy pukał do jej sypialni. Z pokoju nie dobiegał żaden dźwięk. Mężczyzna wahał się przez chwilę, czy nacisnąć klamkę, aż w końcu zdecydował się otworzyć cicho drzwi i wejść do środka.

Na łóżku leżała zwinięta w kłębek, szczupła, drobna postać z potarganymi, ciemnymi włosami. Podszedł bliżej i... zaparło mu dech w piersiach.

Jest piękniejsza, niż zapamiętał. Mimo ciemnych sińców pod oczami i wychudzonej twarzy jej rysy były wręcz idealne. Objął wzrokiem całą sylwetkę dziewczyny. Wygląda prawie jak dziecko... Którym z pewnością nie jest, stwierdził, gdy jego wzrok przykuły wyraźne krągłości sylwetki.

Przypomnił sobie, że gdy wczoraj przyparł ją do ściany, sięgała mu ledwie do ramienia. Powrócił do jej twarzy. Miała długie rzęsy, mały piegowaty nosek, brwi lekko skośne ku górze oraz pełne różowe usta, które w dzieciństwie nieraz widział uśmiechnięte. Przyszło mu do głowy, że wyglądają na bardzo miękkie... Drgnął, niezadowolony ze swoich myśli i przywołał się do porządku.

Nagle brwi Jocelyn zmarszczyły się, a przez twarz przemknął grymas bólu. Jej usta zadrżały, a spokojny dotąd oddech zaczął się rwać. Charles nachylił się zaniepokojony i dotknął jej czoła. Nie miała gorączki. Najwidoczniej dręczył ją zły sen.

Hrabia, chcąc ją uspokoić, odgarnął kosmyk z jej twarzy i wyszeptal kilka słów otuchy. Wyglądała tak niewinnie, że zapragnął zmasać ten wyraz cierpienia, tak niepasujący do jej delikatnych rysów.

Pogłaskał ją uspokajająco po policzku, odnotowując w myślach doskonałą gładkość skóry. Dziewczyna zaczęła się powoli odprężyć i odzyskiwać równy oddech. Uśmiechnęła się błogo

i delikatnie. Westchnęła z satysfakcją i przewróciła się na bok, przytulając twarz do jego dłoni.

Uwięziony Charles zamrugał zaskoczony i znieruchomiał. Gdy poczuł ciepło jej oddechu na swoim nadgarstku, nieoczekiwanie zadrzał.

Od wielu miesięcy nie miał kobiety. Zapomniał już, jak to jest czuć delikatny oddech na skórze... Usłyszał szybkie uderzenia swojego serca. Palce zaczęły go mrowić. Stał sztywno, bojąc się wykonać najmniejszy ruch. Miał wrażenie, że świat skurczył się do rozmiarów jego dłoni. Nie mogąc się powstrzymać, pogładził kciukiem jej policzek.

— Och... Edward... — Usłyszał cichy szept dziewczyny i chwila intymności przysła. Wyrwał rękę ze słodkiego uścisku.

— No tak, cholerny kuzyneczek! — zawarczał i uśmiechnął się kpiąco.

Wzięła go za Edwarda! Zaczął wściekle rozcierać rękę, chcąc pozbyć się wrażenia bliskości. Poczul się jak ostatni głupiec. Co on tu właściwie robi, wpatrując się w nią jak zakochany szczeniak?! Chciał jej ulżyć w cierpieniu? Ha! Dobre sobie.

On. Diabelski Hrabia. Człowiek bez serca.

Z pewnością był ostatnią osobą, którą ona chciałaby widzieć jako pocieszyciela. Zaklął szpetnie i wyszedł szybko, napominając się w myślach, by nigdy więcej nie dać się oczarować tej sprytniej kusicielce.

### *Kilka godzin później*

Czuła się cudownie. Ciepło otulało ją ze wszystkich stron. Uśmiechnęła się leniwie. To z pewnością było niebo... Nagle zaburczało jej w brzuchu. Hmm... nie wiedziałam, że w niebie też odczuwa się głód... Zaraz, zaraz... nie przypominam sobie, żebym umarła — pomyślała.



Naraz w jej głowie mignął obraz groźnej, surowej twarzy i gwałtownie otworzyła oczy. Zobaczyła przed sobą piękny, srebrno-granatowy baldachim. Zamrugła nieprzytomnie. Usiadła na łóżku i rozejrzała się po olśniewającym pokoju, próbując przypomnieć sobie, jak się tu znalazła.

Pamiętała powóz, deszcz, upiorny dom... Aha, no tak... włamanie i to demoniczne oblicze... Wciągnęła ze świstem powietrze. To chyba jednak nie był syn ciemności. Przez chwilę twarz wydała jej się znajoma, ale nie mogąc jej z nikim połączyć, cmoknęła niezadowolona. Ktokolwiek to był, została zdemaskowana. Skrzywiła się z niesmakiem.

Nie mogła sobie wyobrazić gorszego wejścia. Z pewnością lord Winston wiedział już o jej wtargnięciu, ale sądząc po tym, jak została ugoszczona, przyjął to spokojnie. Rozchmurzyła się nieco.

Minęło wiele lat od ich ostatniego spotkania. Być może hrabia jest teraz szczęśliwym małżonkiem i dobrodusznym ojcem gromadki dzieci. Parsknęła śmiechem. Jakoś nie potrafiła wyobrazić go sobie grającego w ciuciubabkę i czytającego pociechom bajki o jednoroźcach. Cóż to byłby za widok! Pokręciła głową z niedowierzaniem.

Nagle spowaźniała. Pomyślała ze smutkiem, że jej samej nie było dane mieć dzieci... W ogóle nie miała teraz nikogo bliskiego. Oprócz Rogera. Ten kocur był jedynym przyjacielem, który jej pozostał. A gdzie on się właściwie podziewa? Pamiętała, że wskoczył do domu, więc na pewno jest bezpieczny. Będzie musiała go poszukać.

Poczuła skurcz żołądka. Jak na zawołanie usłyszała ciche pukanie i do sypialni weszła młoda pokojówka, niosąc przed sobą tacę z jedzeniem. Jocelyn uśmiechnęła się szeroko i popatrzyła na nie łapczywie.

— Dzień dobry, miłady. Wreszcie się pani obudziła. Musi być pani głodna jak wilk.

— Dzień dobry, rzeczywiście, jestem. Jak ci na imię?

— Mary, pani.

— Miło mi cię poznać, Mary. Jestem Jocelyn Ashton. Czy lord Winston jest w domu? — zapytała. Mimo strachu i niechęci musiała jak najszybciej z nim porozmawiać i przeprosić za wtargnięcie.

— Tak, milady, pan jest w swoim gabinecie. Oczekuje pani — odparła i podała Jocelyn tacę do łóżka. — Czy pomóc się pani ubrać, lady Ashton? Osobiście zajęłam się pani suknią — szepnęła i wskazała stojak, na którym wisiało jej bure ubranie.

— Dziękuję, Mary, poradzę sobie — odparła. Z konsternacją stwierdziła, że nie przypomina sobie, aby się rozbierała...

Pokojówka dygnęła skromnie i wyszła. Jocelyn rzuciła się na jedzenie. Na tacy znajdowała się zapiekanka z makaronu, świeży chleb, zimne wędliny, sery, jaja z cebulą i gorąca herbata. W życiu nie próbowała tylu pyszności naraz! Jej żołądek zatańczył z radości. Zjadła wszystko do ostatniego okruszka.

Lord Winston zaiste miał świetną kucharkę, pokiwała z uznaniem głową. Co tu się dziwić, w końcu był naprawdę bogaty.

Odstawiła z zadowoleniem tacę i spojrzała na znoszoną, ciemnobrazową suknię. Stwierdziła, że może nie jest to najnowszy krzyk mody, ale przynajmniej jest ciepła i praktyczna. W torbie miała jeszcze jedną, zapasową, w kolorze ciemnego granatu, ale tę postanowiła zostawić na inne okoliczności.

Ubierała się z ociąganiem. Długie włosy uczesała w skromny kok i przyjrzała się swojej postaci w lustrze. Znośnie — oceniła krytycznie. Nie licząc oczywiście bladej twarzy i zapadniętych policzków.

W głowie zaczęła układać grzeczne formułki, których użyje w rozmowie z hrabią. Nie będzie tak źle — pocieszała się, szczypiąc delikatnie policzki. Na pewno będzie miły i wyrozumiały. A przynajmniej miała taką nadzieję...

Jocelyn zadzwoniła po służącego, by zaanonsował ją u hrabiego. Mężczyzna jednak tylko poprowadził ją przez wąski korytarz, wskazał drzwi gabinetu i pospiesznie się oddalił. Zdziwiła się na to niekonwencjonalne zachowanie. Sądziła, że angielska arystokracja restrykcyjnie szkoli służbę i jest bardzo przywiązana do konwenansów. No cóż, musi zatem zaanonsować się sama.

Stała przed drzwiami i wzięła głęboki oddech. Teraz wszystko zmieni się na lepsze. Uśmiechnęła się do siebie i zapukała.

— Wejść! — Usłyszała mocny głos.

Otworzyła drzwi, przyklejając na twarz najbardziej czarujący uśmiech, na jaki było ją stać.

— Dzień dobry, lordzie Winston, jestem Jocelyn Ashton, wdowa po pańskim kuzynie, Edwardzie... — i tu przerwała, gdyż dopiero teraz podniosła wzrok na swego rozmówcę.

Za masywnym biurkiem, na którym piętrzył się stos papierów, siedział potężnie zbudowany mężczyzna i wpatrywał się w nią z marsową miną.

Natychmiast rozpoznała w nim demonicznego osobnika, który zaatakował ją poprzedniego wieczoru. Przelknęła ślinę.

Czyżby to był lord Winston?!

Nie tak go zapamiętała. Mężczyzna przed kilku lat był smukłym, dystyngowanym młodzieńcem, natomiast ten oto osobnik, wyglądał jak połączenie bestii z wilkołakiem. Jego długie czarne włosy wily się na wszystkie strony niczym węże wokół głowy mitologicznej Meduzy. I do tego te oczy! Jakby płonęły żarliwą wrogością. Ich przenikliwość przeraziła ją i poczuła się nagle bardzo mała. Miała ochotę obrócić się na pięcie i uciec, gdzie pieprz rośnie.

W jednej chwili zrozumiała, że to ona jest obiektem tej nienawiści! Nagle zaschło jej w gardle, gdy wyraźnie przypomniała

sobie ich nocne spotkanie. Ostatnie, co pamiętała, to twarde ciało, przyciskające ją do ściany i świdrujące, groźne spojrzenie. Zakasłała cicho, próbując zamaskować zaskoczenie i na powrót przywołała uśmiech na twarz.

— Na początku chciałabym pana szczerze przeprosić za moje... eee... niespodziewane najście... Proszę zrozumieć... Długo czekałam, aż ktoś mi otworzy, ale widocznie burza zagłuszała odgłosy pukania... — paplała nerwowo. — Na zewnątrz strasznie padało i widzi pan... Podróżowałam już od trzech dni i byłam taka zmęczona...

— Czy często zdarza się pani włamywać do cudzych domów? — przerwał jej ostro. Jego oczy wpatrywały się w nią nieruchomo.

Uśmiech Jocelyn momentalnie przygasł. Jak on na nią patrzył! Zagryzła wargi.

— Nie, oczywiście, że nie... Jednak rozumie pan... Ja nie... — urwała i zamilkła. Zrozumiała, że hrabia nie zamierza być wyrozumiały. Wyprostowała się butnie i postanowiła zmienić taktykę. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Przyznaję, hrabio, że wkradanie się do pańskiego domu przez okno nie było może wyczynem godnym damy, ale jeśli dla zachowania przyzwoitości miałabym umrzeć z zimna na progu pańskiej rezydencji, to wybrałabym okno po tysiącokroć — odparła.

W oczach hrabiego pojawił się błysk zaskoczenia i zainteresowania. Trwało to jednak ułamek sekundy i już po chwili jego twarz powróciła do swego nieodgadnionego, kamiennego wyrazu.

— Rozumie pani, że jeszcze dziś mogłaby się pani za to znaleźć w więzieniu? — torturował ją dalej, leniwie przeciągając sylaby. Jego dłoń niewinnie bawiła się piórem.

— Tak jak mówię, sir, nie miałam właściwie wyboru i... — tu głos jej się lekko załamał — ufam, że okaże się pan na tyle

wspaniałomyślny, że zapomni o całej sprawie. Sprawiloby mi to niewymowną ulgę, sir. — Dygnęła pokornie i spuściła głowę, czekając na jego decyzję.

Zapadła głucha cisza. Gdy po chwili zaskrzypiało krzesło, dziewczyna bardziej wyczuła, niż usłyszała, że hrabia podniósł się i zmierza ku niej. Stąpał pewnie, lecz cicho, niczym okrążający swoją ofiarę drapieżnik. Gruby perski dywan tłumił dźwięk zbliżających się kroków.

Mój Boże, teraz mnie zamorduje — pomyślała w panice.

Tuż przed nią zatrzymały się lśniące, czarne buty. Poczula niewyraźny zapach piżma i cydru. Podniosła wzrok, ale napotkała tylko guziki wytworzonego, czarnego fraka. Zadarła głowę i aż wstrzymała oddech.

Twarz hrabiego była niemal tak blisko, jak tamtej nocy. Teraz jego potężna postura wręcz ją przytłaczała. Czarne oczy mężczyzny wodziły powoli po jej twarzy, jakby chcąc zbadać każdy kawałek jej skóry. Sunęły w dół, aż w końcu zatrzymały się na jej ustach. Poczula dziwne napięcie.

To dlatego, że się go trochę boję — wytłumaczyła sobie szybko.

Spojrzała na niego trwożnie. Miał mocną szczękę, wąski, prosty nos i ostro zarysowane kości policzkowe. Jego twarz była jak wykuta z kamienia, kanciasta, ogorzala i poprzecinana drobnymi zmarszczkami.

Szybko stwierdziła, że to nie jest człowiek, który daje sobą kierować. Musiała jednak przyznać, że na swój surowy, barbarzyński sposób był bardzo przystojny. Kiedy pojedyncza zmarszczka pojawiła się między jego ciemnymi brwiami, poczuła chęć, by wyciągnąć ku niemu rękę i wygładzić ją palcem. Odepchnęła tę nagłą myśl. Co się z nią dzieje?

Hrabia wpatrywał się w jej usta. Rozchyliła je, jakby pod naciskiem jego wzroku i westchnęła cicho. Zauważyła, że wstrzymał oddech.

Powoli, jakby z wahaniem, podniósł dużą dłoń, która na moment zastygła w powietrzu, po czym z powrotem opadła.

— Po co tu przyjechałaś, Jocelyn? — spytał ledwie słyszalnym szeptem. Jego nieodgadniona twarz wydała jej się nagle bezgranicznie smutna i zmęczona.